

| Obślizgła zdradliwość słów

Słowa – są one obrazami rzeczy czy myśli o rzeczach? Rzeczy nie są takie, jakie są, lecz takie, jakie je myślimy. Myśl wkracza między słowo a rzecz. Myśl–milczenie, pierwotnie nieprzyjazna słowu, później przez słowo zdominowana. Złowrogiej mocy słów sporo miejsca poświęcił Francis Bacon, pisząc o tak zwanych idolach w *Novum Organum*:

Idola, quae per verba intellectui imponuntur, duorum generum sunt; aut enim sunt rerum nomina, quae non sunt (quemadmodum enim sunt res, quae nomine carent per inobservationem; ita sunt et nomina, quae carent rebus, per suppositionem phantasticam), aut sunt nomina rerum, quae sunt, sed confusa et male terminata, et temere et inaequaliter a rebus abstracta (LX)

[Dwie są grupy idoli, które korzystając ze słów, narzucają się rozumowi: z jednej strony mamy nazwy rzeczy, które nie istnieją (gdyż w taki sam sposób, w jaki istnieją rzeczy nieposiadające nazw, ponieważ ich nie dostrzeżono, tak samo istnieją nazwy, które pozbawione są rzeczy, będące owocem fantastycznych przypuszczeń), a z drugiej nazwy rzeczy, które istnieją, lecz są mętne i źle zdefiniowane, pośpiesznie i wybiórczo oddzielone od rzeczy] (przekład mój).

Mamy tu nazwy rzeczy (bytów) nieistniejących oraz istniejących – te drugie jednak, poplątane i zdefiniowane w partacki sposób, nie spełniają żadnej funkcji poza tym, że wprowadzają chaos. Ale przecież jak dobrze czujemy się w tym werbalnym mikrokosmosie, wpleceni w oswojone łańcuchy słów. Tak naprawdę to nie precyzji potrzebujemy, nie zgodności słów z rzeczywistością, lecz ukojenia, które przedkładamy nad wszystko inne.

Tu już w pierwszym zdaniu mówi autor wyraźnie: *quae per verba intellectui imponuntur*. W przekładzie angielskim mamy: *imposed by words on the understanding*, czyli „narzucone pojmowaniu przez słowa”, co w pewnym stopniu zawęża znaczenie oryginału, ponieważ łaciński *intellectus* to m.in. „rozum”, „inteligencja”, „umysł”, a także „intelekt” (czasem trudno w tej analizie odwoływać się do istniejącego polskiego przekładu, gdyż zawodzi on niestety w kwestiach delikatnych, acz bardzo istotnych). We fragmencie wcześniejszym Bacon pisze o tym samym, choć nieco innego używając wyrażenia: *At idola fori omnium molestissima sunt; quae ex foedere verborum et nominum se insinuarunt in intellectum* [Jednak najbardziej uciążliwe ze wszystkich są idole rynku, które wciskają się do umysłu dzięki związkom słów i nazw] (przekład mój). Zwróćmy uwagę na czasownik – *insinuo* znaczy „wcisnąć się”, „przeniknąć”, „wślizgnąć się”. Przekład angielski trafnie oddaje tę obszligłą zdradliwość słów: *which have crept into the understanding* [które wkradły się, podkradły się, podpełzły do rozumu] i tak samo trafnie w tym miejscu czyni to istniejący przekład polski, używając frazy *wkradły się do rozumu*.

Bacon nie ma złudzeń co do rezultatu walki ludzkiego umysłu ze słowami – *Credunt enim homines, rationem suam verbis imperare* [Ludzie bowiem wierzą, że ich własny rozum rządzi słowami]. Tylko zabawny stworek z powieści Lewisa Carrolla może być przekonany o swojej władzy nad nimi:

“When I use a word”, Humpty Dumpty said in rather a scornful tone, “it means just what I choose it to mean – neither more nor less”.

“The question is”, said Alice, “whether you CAN make words mean so many different things”.

“The question is”, said Humpty Dumpty, “which is to be master – that’s all”.

– Gdy ja używam jakiegoś słowa – powiedział Humpty Dumpty dość pogardliwym tonem – znaczy ono dokładnie to, co chcę, by znaczyło – ni mniej, ni więcej.

– Rzecz w tym – odparła Alicja – czy POTRAFISZ sprawić, by słowa posiadały tak wiele różnych znaczeń.

– Rzecz w tym – powiedział Humpty Dumpty – kto ma rządzić. To wszystko.

(Ten fragment Alfred Gawroński uczynił mottem swojego tekstu *W zwierciadlanym domu filozofii*). Interesujące jest jednak to, w jaki sposób owe Idole wpełzają do naszego intelektu. Dzieje się to *ex foedere verborum et nominum* – w przekładzie angielskim: *through the alliances of words and names* [dzięki sojuszom/przymierzom/związkom słów i nazw]. Można by się zastanowić, o jakie właściwie sojusze tutaj chodzi: słów z czym? Czym różni się słowo od nazwy? Czy tym, że każda nazwa jest słowem, lecz nie każde słowo nazwą? *Nomen* jest w języku łacińskim pojęciem wieloznacznym i ta jego cecha pozwala ruszyć ciekawą, choć być może nieortodoksyjną drogą filologicznej egzegezy. A zatem *nomen* może odnosić się nie tylko do imion, nazwań, tytułów, osób, lecz także – co niepomierne kuszące – do pretekstów, pozorów, słów pustych. W stronę tej – być może mocno awanturniczej – interpretacji kieruje nas *Dictionnaire Etymologique de la Langue Latine, Histoire des Mots* Ernouta i Meilleta (Paris 1951): *En tant que le nom s'oppose à la chose (cf. gr. ὄνομα et ἔργον), nōmen peut designer „un vain nom”*. Czyli mielibyśmy „czcze” lub „próżne” słowo. Wcześniej zaś Bacon pisał, że istnieją *nomina, quae carent rebus* (dosł.: „nazwy, które są wolne od rzeczy” lub „pozbawione rzeczy”, a w przekładzie Jana Wikarjaka: „nazwy bezprzedmiotowe”, co w porównaniu z oryginałem nie tylko brzmi dość sucho i bezbarwnie, ale także niesie z sobą nieco inne znaczenie). Mielibyśmy tedy przymierza lub związki słów (w domyśle: coś znaczących, czyli odnoszących się do rzeczy) i próżnych słów, będących wiązankami odniesień, które giną gdzieś w pustce. W taki oto sposób owe sojusze bytów oraz bytów pozornych (czyż to określenie nie pachnie sprzecznością?), owe werbalne wyobrażenia niebytów, biorą w posiadanie nasze myślenie.

W interpretacji całego Baconowskiego zdania rozmyślnie nie odwołuję się do przekładu polskiego, znów bowiem gubi on sens

oryginału: *Ze wszystkich idoli najwięcej kłopotu sprawiają idole rynku, które wkradły się do rozumu na skutek związku ze słowami i nazwami.* Tam nie ma owego sojuszu lub związku *verborum et nominum* (jeszcze przez krótką chwilę pozostawmy to bez tłumaczenia) – tam idole, dzięki związkom z *verbis* i *nominibus*, wkradają się do rozumu. Równie istotne jednak jest rozróżnienie pojawiające się u Bacona ponownie kilka linijek dalej: *Unde fit, ut magnae et solennes disputationes hominum doctorum saepe in controversias circa verba et nomina desinant* [Skutkiem tego zdarza się, że wielkie i wspaniałe dysputy uczonych często kończą się sporami o *verba* i *nomina*]. Osobliwym jest, że taki choćby przekład hiszpański całkowicie gubi ów Baconowski sojusz, zostawiając jedynie „język”: *Los más peligrosos de todos los ídolos, son los del foro, que llegan al espíritu por su alianza con el lenguaje.* Tu mamy sojusz/związek między duchem/umysłem a językiem. Później natomiast dysputy ludzi uczonych stają się po prostu dysputami na temat słów (*disputas sobre palabras*).

Jaki jednak sens ma tak drobiazgowo badanie każdego wyrazu, opukiwanie łacińskiego oryginału, zestawianie go z tekstem polskim, potem angielskim i hiszpańskim? Czyżby brało się to z przeświadczenia o wadze słów wypowiedzianych, zapisanych i wydrukowanych? Słowa w swoim wszechświecie posiadają ciężar gatunkowy, są nabrzmiałe znaczeniami i zadaniem tłumacza jest jak najtrafniejsze oddanie tych pulsujących pod ich powierzchnią sensów. Baconowski oryginał mówi, że owe uczone dysputy kończą się roztrząsaniem owych *verborum et nominum* (w związku z kontrowersją znaczeniową zostawimy chwilowo tę frazę nieprzetłumaczoną). Przekład angielski mówi, że *high and formal discussions of learned men end oftentimes in disputes about words and names* (czyli dosłownie, wierne i tak samo jak w oryginale), podczas gdy w wersji hiszpańskiej *elevadas y solennes controversias de hombres doctísimos, degeneran con frecuencia en disputas sobre palabras*, czyli owe dysputy „wyrodnieją” lub wręcz „degenerują” (a zatem słowo o mocno pejoratywnym zabarwieniu w kontraście z neutralnym wyrazem w oryginale), przeradzając się w spory o słowa. Tymczasem zamiast kończyć

owymi kłótniami o *verba et nomina*, najroztropniej byłoby od nich zacząć, by później uporządkować je za pomocą definicji, wszelako nawet *definitiones, in naturalibus et materiatis, huic malo mederi non possunt; quoniam et ipsae definitiones ex verbis constant, et verba gignunt verba* [Kiedy jednak ma się do czynienia z przedmiotami naturalnymi i materialnymi, nawet definicje nie są w stanie zaradzić temu złu. Albowiem także same definicje składają się ze słów, a słowa rodzą nowe słowa]. Definicje nie są w stanie porządkować znaczenia słów, ponieważ same z tych słów się składają. Czyli paradoks nauki spotyka się tutaj z paradoksem literatury, która *jako materiał w pewnym sensie będący swoim własnym celem [...] jest w gruncie rzeczy działalnością tautologiczną* (Barthes). Definicje pojęć są immanentne w stosunku do tychże pojęć i dotykają ich te same przypadłości. Język, spętany własnymi kajdanami, usiłuje definiować sam siebie. Czy wobec takiego paradoksu nie powinno się po prostu zamilknąć?



Jednakże złowroga moc słów na tym wszystkim wcale się nie kończy. Słowa, zdaniem Bacona, powstają wedle reguł dostosowanych do możliwości intelektualnych *profani vulgi: Verba autem plerumque ex captu vulgi induntur, atque per lineas vulgari intellectui maxime conspicuas res secant* [Przeważnie zatem słowa tworzy się, dopasowując je do pospolitej zdolności pojmowania i kontury rzeczy w taki sposób są wycinane, by dla pospolitego rozumu były jak najbardziej widoczne] (przekład mój). Zatem słowa oddawałyby jedynie najgrubsze dystynkcje, które umysły subtelne muszą cieniować i szlifować, aby rzeczy odpowiednie dać słowo. Istniejący przekład polski tego fragmentu gubi gdzieś moc słowa *secant*, brak w nim tego „ciąćcia”, czy też „rozcinania”. Czyli słowo wybrane lub stworzone (różnica w sumie znikoma) powstaje na skutek decyzji. Dziś słowo „decyzja” wiąże się z postanowieniem lub wyborem, jednak odstawienie do lamusa wykształcenia klasycznego sprawia, iż zapominamy, że wywodzi się ono od łacińskiego wyrazu *decido*, czyli „odcinać”. Decyzja

1 / 255 to wynik operacji odcięcia, oddzielenia i odrzucenia jednego na korzyść drugiego (jak pisał Alberto Manguel *każda wybrana kategoria implikuje wykluczenie*)¹. Powstały kształt jest znamiem skończoności i ograniczenia – kształt słowny zamknięciem i ograniczeniem, panczerem myśli. W słowa zagarniamy tylko to, co obejmujemy myślą, zatem nie wyrażają one świata ani tym bardziej tego, co świat przekracza, tylko nas samych. To, co poza nami, pozostaje nadal niewyrażone. *Insoweit ist das Transzendente formlos: Gestalt ist Schranke, und so kann das Absolute, das Schrankenlose nicht gestaltet sein* (Georg Simmel) [To, co transcendentne, nie posiada formy: kształt jest ograniczeniem i dlatego właśnie Absolut, byt nieograniczony, nie może przyjąć kształtu]. A mimo wszystko *w paradoksalny sposób to, co w nas najtajniejsze, to, czego nie śmiemy wypowiedzieć, trzeba powierzyć, jak to czynili dawni Mędracy, grobowemu prawie, bo jakby ciętemu w kamieniu pismu* (Guitton).

Kształt jest celem, do którego dąży myśl, jednak ów cel przyjmuje kształt myśli lub też – uciekając się do innego rejestru – odwzorowanie rzeczy (obiektu) przyjmuje kształt podmiotu postrzegającego. Poruszamy się tutaj w sferze daleko posuniętej konwencji. Wypowiadając (czy też zapisując) jakiegokolwiek słowo, pamiętać należy, że okres rajskiej niewinności języka dawno już się skończył. Niemal każde słowo jest spuchnięte od swojej historii: dostrzeżemy tam nacieki znaczeń, starotwory skojarzeń i przebarwienia idiosynkratycznych kontekstów.

Ale nawet owo kamienne i raz na zawsze ustalone pismo, myśl zapisana i wydrukowana, wcale nie trwa w bezruchu. Zakucie myśli w słowa nie jest nieodwracalnym unieruchomieniem – pod skorupą tekstu pulsują gorączkowe energie: *L'immobilité du texte imprimé est une illusion d'optique. S'il est immobile, c'est comme nous dans ces moments où [...] nous demeurons sans bouger tandis qu'en nous les mouvements infiniment rapides et compliqués de la vie continuent* (V. Larbaud) [Nieruchomość drukowanego tekstu stanowi złudzenie optyczne. Jeżeli jest on nieruchomy, to w taki sposób jak my, kiedy (...) pozostajemy w bezruchu, podczas gdy w naszym wnętrzu odbywają się nieskończenie szybkie i skomplikowane poruszenia życia].

Tymczasem Bacon drąży: *Quum autem intellectus acutior, aut observatio diligentior, eas lineas transferre velit, ut illae sint magis secundum naturam; verba obstrepunt* [Gdy zaś przenikliwy umysł lub uważniejsza obserwacja owe wycięte kontury pragnie przesunąć, aby w większym stopniu stały się drugą naturą, na przeszkodzie stają słowa] (przekład mój). Wryte kontury słów żłobią koleiny, którymi później podąża nasza percepcja. Odpowiedniość słów polega na odwzorowaniu przez nie rzeczywistości, czyli natury. Słowa jednak, nadrzędne wobec natury i tworzące nadrzeczywistość, buntują się przeciwko naruszaniu ich autonomii. Zaiste przerażająca wizja rebelii znaków, anarchii ludzkiego tworu, który niemal czynnie staje na przeszkodzie zmianom podważającym jego niekwestionowaną dotąd pozycję. *Ut illae sint magis secundum naturam*. Czy my naprawdę chcemy, żeby słowa stały się w większym stopniu drugą naturą? Ależ właśnie dlatego, że nią są, stają na przeszkodzie wszelkim zamierzeniom mającym naruszyć *status quo*. Słowa już stworzyły własny, niemalże autonomiczny świat, w którym zamieszkuje pewna część przedstawicieli *homo sapiens*. Owo werbalne uniwersum stanowi odwzorowanie świata realnego i konweniencja jednego z drugim polega na ich współbytowaniu w ludzkiej świadomości. *Na styku rzeczy* – pisał Foucault – *pojawia się odwzorowanie*. Czy jednak sąsiedztwo tych światów świadczy o ich pokrewieństwie, czy też wynika z bezwzględnej konieczności? *Convenientia* słów i rzeczy, współzależność tworząca się w punkcie styku i dzięki niemu jest jednocześnie grą oddalenia, dialektyczną relacją dwóch zwierciadeł, wzajemnie odbijających się w sobie. Kontakt wynika z braku kontaktu, zbliżenie z oddalenia, a *aemulatio* i *convenientia* utrzymują się w stanie dość chwiejnej równowagi. Światy to niepowiązane, a zarazem bliskie; odległe, lecz jednak połączone. Czymże miałyby być owa rzekomo upragniona druga natura? A czymże jest jeszcze bardziej ponoć upragniona natura pierwotna? Nasza wizja Natury, mimo bezwzględności darwinowskich opisów, wciąż jest niepoprawnie sentymentalna i mocno romantyczna. Dla człowieka Zachodu poznanie świata jest aktem werbalnym i polega na

zeskrobywaniu z powierzchni zjawisk pokrywających je warstw językowych znaków – zgarniamy gruby, pienisty kożuch mądrych traktatów i nadętych elukubracji, które mają na koniec odsłonić prawdziwe sygnatury rzeczy. Albo też słowa, w ich bezpośredniej korespondencji do rzeczy. Wierżono ongiś, że to właśnie było zasadą tej relacji w kształcie pierwotnym: *język był absolutnie pewnym i przezroczystym znakiem rzeczy, ponieważ je odwzorowywał. Imiona do rzeczy, na które wskazują, przylegały tak samo, jak siła wpisuje się w ciało lwa, królowanie we wzrok orła, jak wpływ planet zaznacza się w zmarszczkach na czole – w postaci podobieństwa.*

Ponieważ w polu widzenia wciąż jeszcze gdzieś majączy hiszpański przekład Bacona i ponieważ do niego odwoływałem się wcześniej, muszę uczynić to również i teraz. W tym przypadku służy on jednak do zaprezentowania tego, jak delikatną operacją jest przenoszenie materii słownej i myślowej z jednego języka do drugiego. Każde przesunięcie granic – zarówno słów, jak i myśli – oddala nas od natury, którą w tym wypadku stanowi tekst oryginalny (świadom jestem, że słowa powyższe stanowią wyznaczenie wiary w archaiczne już dziś zaiste pojmowanie świata, którego w rzeczywistości przecież nie ma). W przekładzie dzieje się tak, że oryginał – twór odwzorowujący myśl, materia wtórna – staje się bytem pierwotnym i ostatecznym punktem odniesienia. *Dzięki zwierciadlanemu podwojeniu zanika dystans między dwoma twórcami bytującymi na zupełnie nieraz rozbieżnych poziomach spacji i temporalnych. Rzec można, że przekład rodzi się w sfałdowaniu bytu, którego końce nieoczekiwanie się spotykają.* Gdy zatem dusza tłumacza zaczyna porównywać przywoływane wcześniej zdanie Bacona z jego przekładem hiszpańskim, trudno nie zauważyć przekłamania i to nie w nieistotnych detalach, lecz w kwestiach zasadniczych. W oryginale słowa tworzy się, dopasowując je do pospolitej zdolności pojmowania, podczas gdy według tekstu hiszpańskiego język rozcina rzeczywistość wzdłuż linii, które wspomniany wcześniej (czyli pospolity) rozum pojmuje z większą łatwością (*el lenguaje corta la naturaleza por las líneas que dicha inteligencia aprecia con mayor facilidad*).